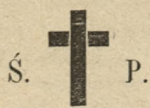


BLUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.



† S. p. Marya Ilnicka.



MARYA ILNICKA.

Czy w zamkniętym kółku rodzinnem, czy szerszem—przyjaciół, czy przekroczywszy ten obręb, wchodzi się już na szerokie pole prac społecznych i trochę myśli i serca rzuca się: zawsze w piersi ludzkiej, choć malutki, mieszka duch egoizmu, który przejawia się w chęci zostawienia jakiejś pamięci po sobie, jakiegoś wspomnienia trwalszego, dowodu jakiegoś, że praca nie poszła na marne, że nieprzebrzmiały bez echa nawoływania do czynów uczciwych, że w sercach tych, dla których ponosiło się trud lata długie, żarzy się iskra wdzięczności.

Objawy tej wdzięczności i tej pamięci bywają różne. Jednych spotyka hołd podany przez całe społeczeństwo uroczystym obchodem w dniu jubileuszowym, innym wystarcza dar skromny w formie albumu lub książki pamiątkowej, wreszcie zamknięte grono przyjaciół, które biesiadą skromną, zapragnęło uczcić zasługi dla dobra ogólnego położone.

Ten wyraz pamięci, w jakiegokolwiek bądź formie wyrażony, staje się bodźcem do pracy dalszej, jest orzeźwiającym strumieniem rzuconym na czoło uznojone. Bez tych oznak pamięci, bez tych kilku róż wdzięczności podesłanych pod stopy pracownika—praca i trud ciężarem się stają, życiu brak złudzeń nawet, w sercu niepełność się rodzi, czy siew był dobry, czy tylko ludzie niewdzięczni? Duchy natchnień wyższych i serca lepszego, znający wartość rzuconego przez siebie ziarna—nieopuszczają rąk bezsilnie, pracują dalej, nie zbaczają z raz obranej drogi, lecz może milczący żal w sercach noszą, że przechodzą tak cicho przez ziemię, tak zapomnianie cicho!

Ś. p. Marya Ilnicka należała do tych ostatnich, z tą tylko różnicą, że w jej gołębiem sercu żalu nawet do ludzi nie było.

Czterdzieści lat pracy—to życie całe! a czterdzieści pięć lat tej pracy włożyła ś. p. Marya w życie swoje. I gdy szczęśliwsi od niej, choć młodszy od niej, odbierali hołdy i dowody uznania—na jubileusz dla niej zabrakło jednego dnia w roku, niedoznała jednego nawet publicznego uczczenia, żadna pamiątka, mowa o wdzięczności ogółu, nie spoczęła na jej stole. A czy kto posłyszał przelotną nawet skargę na to zapomnienie niesłuszne? czy w szeregu licznych jej prac, odnajdzie kto choć jeden wyraz żalu?

Nie!

Ona ukochała trud swój i tych, dla których się trudziła—i ta miłość czysta, krystaliczna, bezinteresowna była jedyną nagrodą dla niej. „Kocham—i dosyć dla mnie!” mówiła ta prawdziwa chrześcijanka, ta niestrudzona pracownica w winnicy Pańskiej.

Odprawiając do grobu śmiertelne szczątki ś. p. Maryi Ilnickiej, czuliśmy smutek głęboki i w myśli szukaliśmy śladów stóp jej na ziemi, i plonu jej posiewu. Życie swoje oddała pracy dla kobiet naszych, kształciła ich umysły i serca, wybiegające za obręb obowiązków kobiety-matki, zawracała do dawnego ogniska, w ognisku tem widząc cel najświętszy, spełnienie najpierwszych obowiązków, jakie niewieście Bóg i natura nakreśliłi.

Ś. p. Marya żyła w czasach, w których od pokolenia wymagano dużo miłości, siły i poświęcenia. Te cnoty nie życie daje, lecz matka—życie rozszerza je tylko; nie szkoła daje, lecz dom—szkoła kształci umysł tylko, serce wynosi się z domu. Wychowując kobietę, ś. p. Ilnicka i męzczyznę wychowywała.

„Mój złotowłosy synku maleńki,” śpiewała niejedna macierz nad dziecka łóżeczkiem—i usypiało dziecko ukolysane dźwiękiem tej piosnki,

i miało sny czarodziejskie, sny, które później w rzeczywistość zamienić chciało. A o ile sięgam pamięcią—nie znam domu polskiego, w którym by tej piosnki nie znano; nie znam dziecka, które, kołysane pieśniami temi, na męża wyrosłszy, nie przyłgnęło piersią całą do tej matki, która życie mu dała. I oto jeden najpiękniejszy liść z wawrzynowego Jej wieńca, kwiat nieśmiertelny, którego wonią niejedno jeszcze pokolenie upajać się powinno.

Mając obowiązek napisania krótkiego życiorysu nieboszczki, nie mogłem się powstrzymać od nakreślenia słów powyższych, jako hołdu złożonego przeze mnie Tej, której, dzieckiem jeszcze będąc, zawdzięczam niejedną sen piękny, mężem będąc, z rozkoszą powracam do chwil tych, w których serce pacholecią wzbierało uczuciem wielkiem, miłością wielką dla tych mar złotych, duchów bohaterskich, o których „złotowłosemu synowi” matka mówiła.

Ś. p. Marya Ilnicka urodziła się w Warszawie r. 1825. Ojciec jej, Edward Maykowski, ożeniony z Julją Garczyńską był pułkownikiem saperów. Gdy umarł, ś. p. Marya miała lat sześć, została więc pod opieką matki, która odtąd całą miłość swoją przeniosła na dziecko, kierując jego pierwszymi krokami.

Dziecinne lata ś. p. Maryi przeszły w ciszy wiejskiej, w majątku Jesionna pod Radomiem, lecz gdy podrasnąć zaczęła, wyjechała do Warszawy na naukę i tam już spędziła młodzieńcze chwile życia, kształcąc się na pensyi pani Plewińskiej, gdzie nauczycielem języka polskiego był niezapomniany przyjaciel dzieci—Stanisław Jachowicz. Badawcze oko takiego wychowawcy, dostrzegło poetycki talent w swej uczennicy. Szczerą zachętą Jachowicza bodźcem była dla młodej dziewczyny do pracy na niwie niezbyt obficie wówczas uprawianej przez kobiety. Pisała dużo, lecz może najbliższe otoczenie chyba wiedziało o tym darze niebios, bo wrodzona skromność ś. p. Maryi, poczucie może własnej jeszcze niemocy, nie dozwalało jej przed światem wystąpić. Dopiero w 29 roku życia (1855) a w rok po wyjściu za mąż, ośmieliła się przesłać „Bibliotece Warszawskiej” pierwszą swą literacką pracę rozmiarów większych i to nie rzecz oryginalną. Był nią poemat Waltera Scota „Pan dwóch wysp!”

Wierność przekładu, potoczność języka i forma piękna zwróciły uwagę publiczności i krytyków.

To ją ośmieliło.

Odtąd w różnych czasopismach warszawskich zaczęły się coraz częściej utwory jej pojawiać, a wszystkie nacechowane były poezią rzewną, melodyjnością wiersza pieszczące ucho, a swoją nutą do serca wpadające.

Im więcej była czytana, tem szerej rozwijały się skrzydła jej twórczości. Nie zadawała się już rymami ulotnymi, lecz na szerszym polu zaczęła sił swoich próbować. I oto powstał poemat fantastyczny p. n. „Paproć,” dalej ładny obraz dramatyczny „Alchemik” dwie komedye: jedna konkursowa, wierszem pisana pod nagłówkiem: „Kto winien?” druga prozą: „Panny Konopianki,” grane nawet swojego czasu w Teatrze Rozmaitości. Do prawdziwie ślicznych przekładów zaliczyć musimy: „Pieśni Ossyana” lecz najpiękniejszym i najpopularniejszym jej dziełem, jest: „Illustrowany skarbeczyk polski, historia polska opowiadana wierszem” (1861 r.).

W lat parę straciła męża, a dzieci nie mając, oddała się już zupełnie zawodowi literackiemu. Uproszona w r. 1865 przez p. Michała Glücksberga do objęcia kierownictwa nad „Bluszczem,” świeżo założonem pismem dla kobiet, z całym zapalem oddała się redaktorskiej pracy, tembardziej, że z nią łączyła się praca dla szerokiego grona kobiet, na których spoczęło nie lekkie brzemie wychowania pokolenia młodego.

Idealem jej było matka-chrześcijanka i matka-polka.

Przez trzydzieści jeden lat pracy swojej w „Bluszczu,” służyła wiernie raz postawionemu ideałowi i tak się zrosła z tem pismem, że w ciągu tego długiego szeregu lat, rzadko rzuciła kwiat swej poezyi na karty innego tygodnika. Znu-

żona pracą i wiekiem sterana, przed rokiem niepełna usunęła się sama z redakcyi, w rzewnym liście pisanym do wydawcy posyłając błogosławieństwo, jak matka dziecku swemu—pod inne rządy przechodzącemu „Bluszczowi.”

Redakcyja szeroko rozgałęzionego pisma wymagała dużo trudu. Mimo to, ś. p. Ilnicka sporo znalazła czasu do zasilania go pracami swojemi. Nie tylko widzimy oryginalne jej powieści, jak: „Pan Profesor,” „Kamienna Wola,” „Księżniczka Beata” i inne, rozprawy literackie, pedagogiczne, społeczne, etyczne i recenzje dzieł lepszych ojczystej i zagranicznej literatury, lecz tłumaczyła jeszcze utwory powieściowe, piśmiennictwa obcego, a szczególnie angielskie, jako czystsze i dla kobiet właściwsze. Pod tym względem cenzura ś. p. Ilnickiej była nieubłagana. Czytała wszystko sama, niejednokrotnie usuwała niewłaściwe ustępy, często przerabiała powieść całą z cudzoziemskiego języka wziętą, której treść ją zajęła, lecz gorszyła jaskrawość opisów.

Poetyczne utwory ś. p. Ilnickiej odznaczały się głębią uczucia, niezwykłą śpiewnością wiersza i myślą zawsze znaczą. Za życia nieoddaliśmy jej należnego hołdu, niechże po śmierci wdzięczność społeczeństwa objawi się w pożądaniu ujrzenia wydawnictwa prac nieboszczki, a niejedną znajdziemy tam perłę, która albo przeoczona, albo zaginiona została w chaosie jej prac różnorodnych.

Cześć Tobie niewiasto polska, cześć Tobie duszo czysta!—Podziękowanie ci niesiem za matki, jakieśmy mieli, za żony i siostry, które szły drogą wskazywaną przez ciebie obowiązków.—Lekką ci będzie ta ziemia, na której żyłaś, którą kochałaś, do której na sen wieczysty poszłaś!

K. Gliński.

Ś. p. Maryi Ilnickiej.

Hej! uderzają serdeczne płacze
O twardy grobu gład,
Bo znowu jedno serce śpiewacze
Ubyło z pośród nas.

Śpisz już, kapłanko tej pieśni świętej,
Co niosła ofiar krzyż,
Nad nędzę życia i burz odmięty-
Wzrok swój podnosząc w wyż.

Posnęli także rówieśni Twoi
Snem wiekuistym już —
Nad grobem mała drużyna stoi,
Drużyna bratnich dusz.

Przyszło też młodsze, serdeczne grono,
By Cię do grobu nieść...,
Z duszą, w ubiegły czas zapatrzoną,
Twej pieśni niosą cześć.

Wieniec pamięci niosą w podzięce
Za pierwszą uczuć skrę,
Gdy ich niewinne usta dziecięce
Szepły piosnki Twe.

Kobiety—żalu przyniosły datek,
Cmentarny słysząc dzwon,
Za siebie Twoją—za cnotę matek,
Za Twój serdeczny plon...

Leć tam, skąd przyszło natchnienie Twoje,
O duszo jasna, leć!
I pij wieczności przeczyste źródło
I gwiazdą z wyżyn świeć!

Kiedy nam serce jęknie boleśniej,
Śród smutnych zwątpień mar,
Przybiegniem znowu do Twojej pieśni
Po żywej wiary czar...

Antoni Pilecki.

WSPOMNIENIE.

...Najlepszą część siebie obrała,
która jej odjęta nie będzie...

Pismo Św.

W ważnej chwili dla społeczeństwa, wśród rozterki przekonań, dróg skrzyżowania, niepewności wyboru hasła do dalszej działalności, znaleźć w sobie ścisłość sądu dla określenia ideałów odpowiadających chwili, znaleźć pewność w własne siły, spokój wewnętrzny i wytrwałość dla utrzymania tak wielkiej odpowiedzialności, to istotnie nie lada zadanie, doniosły obowiązek i w końcu ogromna zasługa.

Zadanie to podjęła, obowiązek spełniła, a zasługę zyskała s. p. Marya Ilnicka przez lat trzydzieści stojąc na czele pisma dla kobiet, przez lat dziesiątki jedynego organu sprawie niewieściej poświęconego, a do dziś jedynego w tym rodzaju pisma mającego tak długą za sobą przeszłość, tak ustaloną tradycję i tak pewną podstawę. Śmiało rzec możemy, że jest to właśnie dziełem niestrudzonej i konsekwentnej pracy s. p. Ilnickiej, której jako Redaktorce te kilka słów wspomnienia dzisiaj ofiarujemy. P. Ilnicka jest pierwszą i jedyną u nas dotąd kobietą, która lat trzydzieści z górą pracowała jako redaktorka pisma literackiego.

Warto się przyjrzeć jakie były Jej przymioty, jakie pobudki i jaki sposób traktowania rzeczy stworzonej i utrzymanej przez nią tak długo i tak dobrze. Przedewszystkiem cała osobistość duchowa miała tę szczęśliwą harmonię talentu, uczuciowości, przekonań i rozsądnego spokoju, że żadna z władz ducha nie wybuchając samopas, nie utrudniała całokształtu pracy, owszem, czynniki psychiczne ujęte i zrównoważone działały zawsze zgodnie, bez niespodzianek, trzymane na wodzy silną, nawet uporną wolą P. Ilnickiej jako redaktorka nie dała się w sobie nigdy unieść poetce, a literatka ustępowała w niej zawsze miejsca moralizatorce. Trzy podstawowe przymioty uczyniły z niej wzorową kierowniczkę pisma: sumienne poczucie obowiązku, niestrudzona, podziwu godna pracowitość, i wytrwałość niezłomna przekonań. Stanąwszy na czele pisma obrała mu za ideały to, co nigdy nie mija, co się nie zmienia z biegiem czasu, co się z prądem postępu jeno rozwija i nieco inaczej skreśla, ale pozostaje wiecznie to samo. Epoką, na której kościół ludzkiej, a mianowicie kobiecej myśli, stoi i trwa—to jest: prawda, dobro, piękno, sumienie, obowiązek, odpowiedzialność, miłość Boga i bliźniego, miłość ziemi rodzinnej i umiłowanie pracy, jakkolwiek ona jest, czy porywem natchnienia na wyżynach artystyzmu, czy ciężką robocizną w codziennym boju żywota.

Postawiwszy sobie takie zagadnienia jako naczelne idee dla pisma, nie odstąpiła od nich nigdy, z konsekwencją i rozsądkiem, jakim mało która z kobiet poszczycić się może. Ten wła-

śnie, że się tak wyrażę, bardzo szlachetny upór przy swoim, sprawił, że „Bluszcz” stał tak mocno, że przetrwał, zdarzające się każdemu pismu literackiemu przesilenia i przebył szczęśliwie trudne, porohy, co znów wcale nie każdego jest udziałem. I zdawało by się, że tę powagę, poczytność i sympatyę zapewniła pismu p. Ilnicka wstępnym może bojem, żwawą polemiką z przeciwnikami, gorącą walką i świetnymi zwycięstwami? Wcale nie: tylko, i jedynie, wytrwałem prowadzeniem swej działalności dalej i dalej. Nie przypominam sobie żadnej ostrej polemiki wyszłej z pod jej pióra, żadnego efektownego artykułu ani namiętnej, nawet tylko obrony swego sztandaru. Szła naprzód po swojemu, to utrzymywała szczerzone przekonania i zniechęcała tych, którzy kusili redaktorkę do podjazdowej wojny. P. Ilnicka uważała takich, jako przykrych, naturalnie, szkodników na niwie społecznej, ale nie raczyła z nimi kruszyć kopij, omijała ich prosto i pracowała dalej. Dotknięta bliżej, boleśniej, nie odpowiadała również nigdy, uważając że nie warto walczyć z zawiścią, złośliwością i zagorzałym krytycyzmem, „nadto harda” wedle wspaniałych słów Krasińskiego „by znamiętnie się w przekleństwo.” Tym swoim spokojem zdobyła sobie spokój, a im dalej szła w lata zasług swoich, tem naturalnie już i mniej ośmielano się wyzywać redaktorkę do walki.

Konsekwencję swoją w obranym raz kierunku posuwała nieraz do drobiazgowości, do rozważania jednego słowa, wyrażenia, czy licować ono będzie z całością kolorytu pisma, to też przeglądając uważnie roczniki „Bluszcza” przyznać musimy, że mało które z naszych pism literackich wykazało by mogło na tak długiej lat przestrzeni taką jednolitość dążeń w różnych swoich działach, taką zgodność z ideą przewodnią, taką stałość kierunku.

W jednym z listów swoich pisała p. Ilnicka, „Bluszcz—to ja.” Istotnie, to pismo wchłonięło w siebie całą działalność autorki. Jeszcze i to przyznać jej trzeba, że oddając cały swój talent temu pismu dla kobiet, przystosowując jego siłę, polot, miarę, do potrzeb przeciętnego ogółu kobiet, aby być zrozumianą—przez wszystkie, musiała wyrzec się szerszego, indywidualniejszego tego talentu rozwoju i tem samym wyrzec się wyższego stopnia literackiej sławy. Ofiara duża, ale też stworzyła organ literacki dla spraw polskiej kobiety, w którym znajdowały zawsze zdrowe ziarno dobrej rady, światło dostępne podanej wiedzy, przestrożę na życiowe bezdroża, przyjemny i zajmujący materiał dla umysłu z dziedziny literatury i przykłady rozwijającej się na każdym polu działalności kobiecej zbierane ze szczególną starannością zawsze przez samą kierowniczkę.

Pani Ilnicka pragnąc przedewszystkiem w kobiecie wykształcić, oświecić, umocnić—serce, nadała swym pracom kierunek przeważnie uczuciowy, podtrzymywany wybitnym rozsądkiem. Trzymając się mickiewiczowskiej zasady, że: „uczucie spali czego myśl nie złamie” chciała umocnić w kobietach naszych serce, miłość, szlachetne uczucia, któremi łatwiej im w życiu zdobyć sobie szczęście i spełnienie obowiązków, niż błyskiem świetnej myśli, szeroką wiedzą lub nadzwyczajnym talentem. Przyznać jej trzeba, że umiała wybornie wytknąć, tę średnią drogę życiową, po której największa część ludzkich istot kroczy, drogę prostą i uczciwą, szlachetną, a przystępną dla każdej dobrej woli, drogę którą płyną tysiące dusz, do której dążą śpieszący po ścieżynach społecznych maluczy, a którą lotem cudnych skrzydeł przekraczają wybrane jednostki.

Pani Ilnicka, obdarzona wybitniejszym talentem, pozostała jednak z tą falą najliczniejszą, na tej średniej ludzkiej drodze, aby przewodniczyć idącym nią kobietom, a wyrzekając się górnego lotu skrzydeł na co czasu nie miała, pozostawiła jednakowoż plon literacki ogromny, z którego by duże powstać mogło wydanie. Plon tej pracy długoletniej spoczywa w rocznikach „Bluszcza,” wartoby go ztamtąd wydobyć, rozgatkować,

uporządkować, opatrzyć życiorysem autorki i wydać na pamiątkę pracy tyloletniej, ku pożytkowi ogółu kobiet. Pobieżną tu rzucimy uwagę, że literacką tę spuźninę, podzielić by można na trzy działy, odnośnie na trzy tomy, to jest: tom Poezyi, tom „Szkiców literacko-pedagogicznych” ułożony ze wstępnych artykułów i tom wyboru powieści.

Rozpatrując się w życiu i działalności tej kobiety nabiera się szczerzego szacunku dla tej niestrudzonej pracowniczki, która połowę życia swojego poświęciła dla podniesienia serca i umysłu polskich siostr swoich. Ileż należałoby się jej uznania, wdzięczności, serdecznej podzięk i pamięci a mianowicie od kobiet właśnie. Czy tak jest jednak? Z wielkim żalem, prawie że ze wstydem wykazać tu muszę kobietom, że się znalazły dla zasłużonej redaktorki „Bluszcza,” który się w tysiącach ich rąk znajduje, wprost—niewdzięcznie. Za trumną spracowanej autorki szło szczupłe gronko, kilka wieńcy ozdobiło grób zmarłej, w orszaku tym pogrzebowym uderzał brak kobiet, od „czytelniczek Bluszcza” nie było jednego listka, trzy nasze Czytelnie kobiece, (we Lwowie, Krakowie i Poznaniu) ani się nie odezwały do tej trumny niepospolitej kobiety, Stowarzyszenia kobiece, a jest ich już sporo, głuchą odpowiedziały ciszą, a pisma literackie kobiece, przez kobiety redagowane, udały chyba, że nie wiedzą o zgonie czcigodnej koleżanki, wobec zaś tej obojętności niewieściej jakże już tam nawet czynić wymówki kołom literackim lub wielkim pismom codziennym i ilustrowanym, które się ograniczyły na wzmiankach pobieżnych nie wolnych nawet w nekrologowej notatce od jaskrawej krytyki talentu. Tylko „Kurier Warszawski” dał piękny wieniec na trumnę. To też za tym smutnym katafalkiem powstawały w duszy różne myśli, wnioski, sądy, które idąc za przykładem p. Ilnickiej zachowam dla siebie, jako doświadczenie, nie mogąc jednakże powstrzymać się od gorzkiej filozoficznej uwagi, że się oto można w życiu przez lat trzydzieści zapracowywać w dzień, i po nocach tracić oczy, że można się całkiem zaprzeć sobie, a oddać na usługę drugim, i zyskać za to takie obojętne zapomnienie, że aż zakrawa na—niewdzięczność. Dzisiejszy świat niewieście poszedł krok naprzód; tylko krok, zaznaczam to; a dlaczego tylko krok, duży o tem mówić; i nie na to tu miejsce; ale kto się o krok posuwa, toć przecie nie zapomina, tej przeszłości moralnej, która go wykształciła i dała mu może właśnie siły do stawienia tego kroku.

Różnice przekonań, poglądów, odcieni życiowych i społecznych hasła, nie rozdzielają przecież, aż tak ludzi, żeby cześć zmarłych na tem traciła; są przecie groby, u których się nawet stronnictwa bardzo poważne jednoczą, i są chwile w których zaznaczanie swej odrębności lub efektowna neutralność są objawem conajmniej smutnym. Licząc jednak na to, że to była niewdzięczność pozorna, brak może inicjatywy, mianowicie na prowincyi, nieogłędne tylko zapomnienie, nie waham się tutaj, w imieniu wszystkich czytelniczek „Bluszcza,” jako jedna z jego czytelniczek bardzo, bardzo dawnych, nakreślić gorące słowo wdzięczności i serdecznego wspomnienia dla zgasłej jego twórczyni i redaktorki Maryi Ilnickiej, której niewątpliwie w pamięci i sercu polskich kobiet nigdy ta część odjęta nie będzie na którą sobie tak szlachetnie zasłużyła.

Szczęsna.

Nad grobem Maryi Ilnickiej.

Była jak lilja do dna swej istoty,
Lilja, na którą padł świtu brzask złoty,
Jak kwiat rosnący nad czystym kryształem
Wód niezmaconych. Ona w życiu całem
Patrzyła w jasne, przezroczyste zdroje
I tak przeżyła całe życie swoje,
Bez zmazy w każdym myśli swych odbiciu.
Jak lilja białą, czystą była w życiu.

I miała jedno tylko szczęścia rano,
Przybranę w szatę urojen różaną, —
Gdy snopy światła darły się z chmur zwoju,
Oczekiwania pełne i obawy,
Ranek, co wstaje w dzień wielkiego znoju
Przed południowym skwarem doli łzawej,
Ranek tak cudny, iż pokoleń oczy
Raz tylko widzą go w chwili proroczej.

Nie zapytała czasu, który bieży,
Jaka za pracę czeka ją nagroda.
A czas uciekał jak niezwrotna woda.
A świat powtarzał: Tej się nie należy
Nic, bo inaczej czyżby nie wołała
Wołaniem wielkiem o słuszną zapłatę?
Oddała braciom skarby swe bogate,
Na każdym kroku błogi posiew siała,
A nie pragnęła duszą utęsknioną,
By trud lat wielu choć słowem uczczono.

Dziś nad jej grobem czyż nikt nie zapłacze?
Och, przed innymi płaczące tkliwe dziewy,
Które wzruszały jej natchnione śpiewy,
Którym wołała, że je pod krzyż stary
Powiodą kiedyś w dzień sądu i kary
I tam przykażą pokleknąć w pokorze,
By wypowiedać się z tego, jak boże
Ziarno w ich sercu weszło i przez lata
Jakim był dział ich w wielkiej pracy świata.

Kłękajcie wszystkie i pochylcie lica,
Bo wam mówiła, że nasza dziewica
Wspaniałą przyszłość w swoim nosi łonie,
Byleby tylko to; czem jej zapłonie
Piers w młodocianem świętem uniesieniu
Doniosła w żywym, gorącym płomieniu
Aż do wrot śmierci, by w małżeńskiej doli,
W matczynych troskach nie zgasiła w sobie
Świętego ognia — ale go powoli
Nieciła wszędzie, gdzie jej dłoń dosięże,
By nie zgasł wprzód aż w trumnie i grobie.
Tem będzie większą nad rycerskie męża
I nad uczonych, co wertują księgi,
Bo swą miłością duchów złych potęgi
Przemoże — tego, co zdziała pokorą,
Hardej przemocy gwałty nie zabiorą,
Ani wyniszczą nienawiści szale.

Ona ten płomień niosła żywot cały,
Pan jej oszczędził ducha zgrzybiałości
I nieskalaną doszła do bram zgonu,
Czystą od zmazy i wewnętrznej czczości,
Od pożądania zysków, czci i plonu,
Od samolubstwa, co w serca goryczy
Z bezsilną złością straty swoje liczy,
Od nienawiści marnej, gniewnej pychy.
Czystą, szlachetną była w duszy cichej,

Ofiary świętą drogą szła ochotna,
Wciąż z jedną myślą, wciąż bardziej samotna,
Z czystego pasma snując nieć żywota.
Z brzemieniem prawdy szła w wieczności wrota

Częstochowa, 29 Sierpnia 1897 r.

Bronisław Grabowski.

Z niedrukowanych poezji Maryi Ilnickiej. (Z albumu Szczęsnej).

Poetko młoda! na żywota droge
Dobry talizman chcesz dostać odemnie;
Szukam w mych skarbach lecz znaleźć nie mogę..
Szukam w mych skarbach — daremnie!... dare-
[mnie!..]

Nie wiem ja z czego są na serca zbroje:
Widzisz — przeczyste na wskroś piersi moje!
Lecz słuchaj, — życie jest to obowiązek:
Spełnić go trzeba, wybierać nie można.
Zaliż w pakowiu zielonych zawiązek
Lilia się będzie pytała ostrożna:
Czy chłodne wichry nie wieją na świecie,
Czy burza może łamać białe kwiecie?
Nie... Ona razem wyniosła i cicha
Kwiat swój rozwinie w poranek wiosenny;
Bo z czystej głębi śnieżnego kielicha
Woń wydać musi, — w jasności promiennej
Musi się skapać, pić światła blask złoty,
I kochać słońce i drzeć od tęsknoty..
Tak ty, rodzona siostró czystych kwiatów,
Kochaj i tęsknij, cierp i walcz z cierpieniem;
Z ojczystej ziemi w bezmiar Bożych światów
Rozumnej myśli wystrzelaj promieniem;
Żyj — w uczuć twoich pełności serdecznej,
A górą niech się pełni sąd odwieczny...

D. 27 Czerwca, 1887 r. Warszawa.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

WRÓCI!

POWIEŚĆ.

—*—

(Dalszy ciąg).

— Anelli — tak! odpowiedziała, jak senna.
Równina śnieżna, pusta, o kryształowej jasno-
ści jakiejś, straszna bezbrzeżnością i ciszą śmier-
telną rozciągnęła się przed jej oczyma. Cienie
nie cienie, mary nie mary, widma wyobraźni
może, lub w duszy zwierciadło odbite postaci
rzeczywiste — snuły się smutku pełne i ogromne-
go przygnębienia. Barki jednych ugniatał ciężar
jakiś, lecz naprzód szli z rezygnacją
kamienną, z twarzą ku zachodowi zwróconą; in-
nym sił brakło, siadali więc na ziemię jak głazy
przydrożne i zostawali już tak, skazani na
wieczność milczenia. Chłód tej wizji miał
straszną moc w sobie, bo czoło Jadwigi stało się
białe jak śnieg, pot zimny uperlił skronie..
— Dziecko — odezwał się za nią głos matki.
Jadwiga zwróciła się szybko.
— A! zawołała, rozglądając się do koła, i da-
wny rumieniec na jagody jej wystąpił... Samo-

war już kipi, Marcia przygotowała do herbaty
i mama już się z czajnikiem uwija...

Podbiegła do matki z wesołym uśmiechem na
twarzy, z wyrazem jasnym i spokojnym, jakby
zapomniała o śnie, który miała przed chwilą.
— Jaka ze mnie córka niegodziwa — mówiła,
całując dłoń matczyną i czajnik z herbatą z rąk
biorąc. Ale to Oleś winien, widział, że matecz-
ka się krząta i mnie nie zbudził.

— Albożeś spała? spytał brat.

— Byleś przy mnie.

— Odszedłem zaraz, nie chcąc ci przerywać
marzenia...

— A mama trudziła się zamiast odpocząć po
drodze uciążliwej.

— Ależ nie wielkiego, Jadwisiu — nie wielkie-
go! W tej chwili jakiegokolwiek zajęcia lepszym
jest niż bezczynność, bo myśli samopas puszczo-
ne męczyłyby stokroć więcej...

— Prawda — mateczko! tłumiąc westchnienie
odpowiedziała Jadwiga.

Wzrok jej padł na ojca.

Sośnicki siedział zagłębiony w fotelu, z głową
pochyloną na piersi, z wyrazem ogromnego smu-
tku w oczach. Zdawało się, że postarzał od chwi-
li, gdy przestąpił próg nowego mieszkania, czo-
ło podłużne zmarszczyły fałdy, szron siwizny za-
mienił się w białosć śniegu.

Jadwiga podbiegła do ojca.

— Tatusiu! zawołała...

— I co my z sobą zrobimy? zapytał, głosem,
jakby dosnuwał myśli go trapiące.

— Co zrobimy?... Będziemy żyć, marzyć,
czekać.

— A zawsze marzyć! — rzucił Aleksander.

— Ile ty masz lat? zwracając się do brata spy-
tała Jadwiga.

— Dwadzieścia pięć.

— Czołem przed sędziwością takiego wieku!
rzekła z powagą, skłaniając głowę przed bratem.

Aleksander z podobną powagą odklonił się.

Sośnicka zaśmiała się, a pan Mateusz rzekł:

— Marzenia są nieodłączne od młodości, nie
rozumiem młodości bez marzeń, nie pojmuję bez
nich uroku życia. Jak ty sobie bez tego pora-
dzisz, Olesiu — nie wiem!

Młodzieniec z powagą stuknął palcem w czoło.

— Tu znajdziesz się wszystko, mój ojcie.

— Czy nie zawiele tylko liczysz na ten swój
rozum?

— Nie mój to rozum, lecz prądów nowych.

— Co wy nam dacie, druzgocząc ołtarze na-
sze? — rzucił Sośnicki.

— Ty ojcie i tobie podobni mierzyli siły na
zamiary, jakby zdrowy rozsądek nie mówił, że
ze wszystkich głupstw, najkapitałniejsze jest to
właśnie. Zadanie nasze jest jasne, drogi zrozu-
miałe, cele wytknięte. Najsamprzód musimy
zwrócić uwagę całą na stan ekonomiczny kraju.
Początkiem wszystkiego jest materyalny dobro-
byt, ten nerw życia, wtedy dopiero z zarzu-
canych rupieci będziemy wydobywali potar-
gane nici marzeń waszych i to idąc za wska-
zówkami nowych wymagań świata. Bez tego
nie chcemy nic o nich wiedzieć; rozbrat stano-
wczy z ideałami — pozytywna praca tylko i jesz-
cze raz praca. Zdobywszy środki, wtedy do-
piero powiemy narodowi: macie nas! Nowe źród-
ła wiedzy otworzymy społeczeństwu, taranami
ksiąg rozświetlających drogi przyszłości bić bę-
dziemy w zapleśniały mur ciemnoty, zmurszałą
przeszłość do archiwum, jak na to zasługuje,
opieczętowaną starannie, złożymy; a ciasne po-
jęcie ojczyzny rozszerzymy do granic ludzkości
całej, bo ona nas tylko obchodzi. Pojęcie czo-
łowieka stawimy wyżej nad nie niemówiące wyra-
zy: Polak, Francuz, Niemiec i t. d. Dla ludzko-
ści się poświęcić, ludzkość całą ukochać — to wię-
cej znaczy niż kraj jeden, będący jakąś sieka-
ninką etnograficzną.

— Ludzkość cała — hm! hm!... mruknął pan
Mateusz, ruszając głową. Duże serce potrzeba
mieć na to!

— Nie ma! — rzucił Aleksander.

— A wiesz — ciągnął dalej Sośnicki, — mnie
się dotąd zdawało, że nie mała jest rzeczą uczei-
wie ukochać — choćby rodzinę własną, cóż
dopiero naród, a cóż dopiero ludzkość całą!...

— Powiem ojcu otwarcie, że ta, tak zwana, miłość rodziny dziwnie parafianstyczna, narodu—geografią mi traci. Barbarzyństwo wieków minionych podzieliło glob ziemski na kraje i kraiki—nadało im nazwę, przywiązało znaczenie jakies do granic państwowych, jakby poza niemi nie było ludzi, powietrza i ziemi więcej.

— Jest—jest—jest, jest to wszystko, coś powiedział, tylko, widzisz, człowiek to takie sobie zwierzę, że przywiązuje się do miejsca, do pamiątek, wspomnień, a one stanowią tę nić, która łączy przeszłość z dniem dzisiejszym i w przyszłość się snuje.

— I kłęski sprowadza—dodał Aleksander.

— A czasem naznacza człowieka chryzmatem bohaterstwa—wtrąciła Jadwiga.

— Pan Gustaw w tej chwili pomyślał o tobie—zaśmiał się Aleksander.

— Spotkały się więc myśli nasze—rzekła siostra...

— Ha! zobaczę co zrobicie, zobaczę, co zrobisz ty i twoi kamraci.

— Nasamprzód, ojcie—pieniądze!

— A potem!

— Tysiące celów odkryje się naraz, gmachów tysiąc, lecz naprzód fundamentów, fundamentów potrzeba!...

— A ty, Jadwisiu?

— Ja—ojcie? Będę przy was nim pan Gustaw powróci, później was rodzice do siebie weźmiemy. Będziemy wtedy pracowali oboje na chleb powszedni, a gdy z dziewczyny mężatką się stanę, gdy będę miała... syna,—przywiodę go do portretów dziada i pradziada, uczyć będą to, co wyście mnie uczyli, kochać mu każę to... i tak, jak wyście kochali.

— Szach — mach... i do lasu! ha? zaśmiał się Aleksander...

— Olesiu!

Pan Mateusz mieszał herbatę, aż łyżeczka, o szkło dzwoniła, Jadwiga mówiła dalej:

— Przed chwilą rzuciłeś ojcie pytanie—co robić będziemy?

— Tak, moja droga...—Z małego kapitału, jaki nam został po sprzedaży Sośnicy—a i ten fundusz niewielki zawdzięczamy uczciwości p. Aleksego Chomina, który stanął do targu i wysokością od razu podniesionej sumy, uratował nas od nędzy ostatniej—z kapitału tego, przy największej oszczędności, nie wyżyjemy. Ja stary i okrutnie sterany, a gdyby i nie to, czy w tej zapadłej mieścinie, do której schroniło się tylu podobnych do nas rozbitków, gdzie młodszy i mędrsi ode mnie zajęcia żadnego znaleźć sobie nie mogą—mógłbym co robić, jak i czem się zająć?... Matka zaś...

— O nie, nie—przerwała Jadwiga—ani mama ani ty, ojcie, o tem nie powinniście myśleć. To moja już rzecz!

— Twoja?... Czy ty przyzwyczajona do pracy jesteś?

— To przyzwyczaję się, ojcie!...

— A sił ci starczy?

— Doda mi ich myśl, że stanę się wam użyteczną, że—gdy pan Gustaw powróci, zastanie mnie pracującą, myślą ciągle do niego zwróconą... i powiem mu: widzisz, gdyby nie ta nadzieja, że wrócisz, może bym się ugięła, pochyliła, upadła—ty byłeś mocą moją, podporą moją, czuwaniem bezsennem i snem pokrzepiającym.

— I cóż zamysłasz uczynić, dziecko?

— Muzyka, śpiew,—a jak potrzeba będzie to i nauki inne przyjdą mi w pomoc. Przecie mamy tu tylu znajomych, nawet Marynia Kamecka, dawna koleżanka moja i przyjaciółka, zechce przypomnieć mnie sobie i zradą pośpieszy. Już się o nic nie kłopotcz, tatku—będzie nam dobrze, doskonale...

Przypadła do nóg Sośnickiego i głowę na kolana oparła.

— Oles wróci do Warszawy...

— Nie — rzekł Aleksander. Zamiary mam inne.

— Jakież? Spytała matka.

— Przyroda, na którą uczęszczałem, w dzisiejszych warunkach nie przyda mi się na nic. Ja mam już zajęcie.

— Gdzie?

— Tutaj.

— Jakież?...

— Zostałem agentem Towarzystwa ubezpieczeń od ognia i na życie. Mieszkanie mam w śródmieściu o dwóch pokojach i pomocnika już sobie przyjąłem. Teraz pożary są częste, a szlachta nabrała rozumu, assekuje i assekuje się. Jeżeli obrachunek mnie nie zawiedzie, już w roku pierwszym mojej działalności będę miał do trzech tysięcy rubli srebrem. Dodać tu jeszcze muszę, że stryj Atanazy, gdy był w Warszawie jeszcze, zrobił mi prezent imienny z dwóch tysięcy rs.

— Nic nam o tem nie mówiłeś! zawołał Sośnicki.

— A po cóż mówić miałem?

— Widzisz, tatku—odezwiała się Jadwiga, że zbyt czarna przyszłość nam się nie przedstawia. Na początek przydać nam się mogą te dwa tysiące...

— Za pozwoleniem—brat przerwał... Tych pieniędzy nie mam,—a gdybym i miał leżące, to na inny użytek są przeznaczone.

— Jakiż to? spytała Jadwiga.

— Po wojnie ostatniej wszystkie papiery oparte na akcyach fabryk cukrowych i innych przedsiębiorstwach—spadły niżej normalnej wartości. Otrzymałszy pieniądze od stryja włożyłem je wszystkie w interes. Za połowę nabyłem akcye, na których już dzisiaj zarobiłbym z pięćset rubli, lecz że idą szalenie w górę trzymam się jeszcze i sprzedam w stosownej chwili; drugą połowę pieniędzy zostawiłem Jacusowi Meskiemu, by grał niemi na giełdzie. On zna się na tem! Miałem wiadomość nadzwyczaj pomyślną—rubel rubel robi. Tak, pani siostrze—zwrócił się do Jadwigi—ja i Jacus będziemy tu pierwszymi pionierami pracy produkcyjnej, rzeczywistej nie urojonej. Jacus założył już nawet pismo, gdzie rąbać będziemy papuzie wyloty i podgolone czupryny, a romantyczną poezję przewrócimy na nice. Poezya nowa się zrodzi, w której nie „przeciw naturze strzelać będziemy,” lecz do pomocy naturę weźmiemy. Posłyszysz tam huk kotłów, ryk pary, szmer przesuwających się pasów. Przewidujemy z góry, jaki rwetes starzy podniosą, ale czyny nasze będą za nas mówiły. I zadeklamował:

Dalej, za mną, bracia dzielni,
Lecz do młota i do kielni—
Dzisiaj nowi my wojacy
W górę wzniesiem kilof pracy.

— Czyje to? spytała Jadwiga.

— Moje!—odpowiedział z dumą Aleksander.

Ospała twarz młodzieńca ożywiła się, oczy błysnęły rzadko widzianym blaskiem.

Mimo woli zapal ten i Jadwidze się udzielił. Zrazu stała, spokojnie wpatrzona w twarz brata, później rumieńcem zapłonęły jagody, uśmiech usta poruszył—podeszła ku niemu i kładąc swą małą rączkę na jego męskiej dłoni, odezwiała się:

— A czy ja wiem—może życie wymaga dziś ludzi innych, dróg innych, może cele wasze od naszych są pewniejsze, tylko poco to kopanie przeszłości, pogarda taka dla szaty starej, zapomnienie tak szybkie tego, co było karmią pokoleń tak wielu, co tak niedawno, tak pięknymi kółłasało nas marzeniami.

— Znowu marzenia!

— Ach—prawda, że ty masz tarany jakies.

— Które zmiażdżyć muszą, nieużyteczną już na nic, a tylko bruźdzącą nam gwardyę zrzędów starych...

— Lecz przyznaj przynajmniej, że ta stara gwardya miała lot orli.

— Nie chcąc w pani siostrze nieprzyjaciółkę mieć, powiem zatem: leciała, leciała, leciała...

— Et! z niechęcią odparła Jadwiga.

— I to się tobie niepodobalo! Ale.—Spójrz!—Rodzice już udali się na spoczynek, Marcia cicho, jak mysz chodzi, wszędzie ciemno, tu tylko jedyna lampa dogorywa.—No—dobranoc ci, Jadziu—marz słodko, za mnie marz nawet, bo ja chrapać będę jak niedźwiedź.

Pocałował siostrę i odszedł.

— No co ty czekasz, Marciu? spytała Jadwiga zwracając się do stojącej Janczewskiej.

— Może panienska rozebrać się pozwoli, bo Olena zasnęła i śpi jak zabita, że dobudzić się nie można.

— Nie budź więc jej Marciu i sama idź już spać, ja sobie dam radę.

— Panie Boże święty—ruszając głową i ręce podnosząc do góry, odezwiała się znów Janczewska. Co to się zrobiło, co to się zrobiło?! Jak pomyśle, że Sośnicy niema, własnego dachu nad głową niema, a pieniędzy tylko tyle, co ziarnek na rozsypanie raz wróblom—to aż strach bierze! Pan stary wyłysiał i posiwił, pani nie skarży się, bo i na cóż to by się zdało, ale z jej oczu, prosto, nieszczęście patrzy. Oles gada tak, co ja nic nie rozumiem, panienska tylko jedna ducha dodaje i zawsze taka młoda i taka ładna!...

— Przecie nie jestem stara, Marciu!—odezwiała się Jadwiga.

— O, nie—ja tego niepowiedziała, podchwyciła jakby z trwogą Janczewska.

— Mam dopiero lat dwadzieścia siedem.

Zamyśliła się.

— Dwadzieścia... siedem—Gustaw powróci za lat trzy... Trzydzieści!

Westchnienie półurwane z piersi wybiegło, w oczach zakręciła się łza. Po chwili, jakby budząc się ze snu przykrego, wstrząsnęła głową gwałtownie, aż ciemne warkocze rozplotły się i rozsypały się po plecach.

— Lat trzy! potrzeba je zabić trudem, pracą, bo oszaleć można!...

— Co mówisz, Jadziu?—spytała Janczewska.

— Ty jeszcze tutaj, Marciu?

— A czy to mnie tak do spania śpieszno? Chyba Jadziunia może zmęczona?...

— Chciałabym usnąć, ale sen nie przyjdzie.

— Idź do swego pokoiku, koteczko—szepnęła stara nianka panny Jadwigi. Rozbiórę ciebie,—dzisiaj tylko,—mówiła, składając dłonie—załulam może, cichutko śpiewać nawet będę, jeżeli zechcesz.

Malutki pokoik Jadwigi jak pieścidełko wyglądał. Janczewska z przywiezionych z Sośnicy gratów różnych, co tylko najlepszego znalazła, niosła zaraz do pokoju „Jadzi.”—Układała, przypatrywała się, poprawiała po tysiąc razy, dopóki nie powiedziała sobie:

„Tak—dobrze! Jadziunia będzie kontenta.”

Niejeden przedmiot, jak obrazek kolorowy wiszący dawniej w pokoju pani Sośnickiej lub przycisk bronzowy z Napoleonem stojący ongi na biurku pana Mateusza—przy przenosinach znalazły się w malutkim pokoiku Jadzi.

— „I to dla niej—szepnęła ustawiając rzeczy—co już starym po tych ślicznościach!”

W ten sposób, co tylko starej Marci do gustu przypadło, przeniosło się do sypialni panienci. Firanki zużyte i podarte gdzie nie gdzie zawiesiła w salonie, całe i świeże jeszcze do Jadzi okienka poszły; na niem i najpiękniejsze kwiaty się znalazły, a już niezaprzeczonem dziełem Janczewskiej była biała, muślinowa zasłona nad łóżkiem, w kształt baldachimu rozwieszona.

Dobra Marcia, z oszczędności własnych, kupiła kilkadziesiąt łokci muślinu, przypomniała sobie, jak to dawniej, nad kolebką malutkiej Jadziuni zawieszała tiulowe zasłony, związuje u góry wstążką czerwoną, w którą nieraz godzinami całemi wpatrywała się jej pieszczoszka. Poczciwej staruszce lzy w oczach stawały, gdy, po latach przeszło dwudziestu, fałdy białego muślinu zwijała nad łóżeczkiem Jadzi. Wiedząc, że los już pieścić jej wychowanki nie będzie, wynagrodzić krzywdę tę chciała i na siebie wziąć dawną rolę piastunki.

Panna Jadwiga ze zdziwieniem miłym obwiodła oczyma w krag pokoju.

— Jak tu ładnie! szepnęła.

— A co? a co? zawołała Janczewska uszczęśliwiona tą uwagą.

— To twoje dzieło, Marciu?

— A moje!

— Poczciwas ty, nianiusiu moja! rzekła z rozrzewnieniem Jadwiga, obejmując szyję Jancze-

wskiej. Ale—dodała po chwili—w Sośnicy nie było zasłony nad łóżkiem mojem.

— A tu jest—uśmiechnęła się Marcia.

— Zkądżeś ją wzięła. Ej! Marcie—pogroziła palcem Jadwiga—już zajrzałaś do swego woreczka?

— I co? jest i koniec! Czy Jadzia mi zabrani groszów kilka wydać?—Jeszcze!

Drżące od wzruszenia usta panny spoczęły na czole starej nianki.

— Widzisz, jak łóżeczko posłane dobrze, poduszki ułożone dobrze i ta zasłona przyda się, zobaczysz, gdy ciekawe słonko do oczków twoich zajrzeć zechce, albo mucha natrętna byknie. Pomyślisz wtedy, że Marcia miała rozum, a ona tylko serce miała—i wszystko!—Rozbijaj się, kochanko—połóż się na łóżeczko, a ja na brzegu przysiądę i choć jeszcze popatrzę trochę na ciebie.

— Ach—jak dobrze! wyciągając się na miękkiej pościeli odezwała się Jadwiga.

Ciemna fala włosów, którą powoli zwijała wypieszczona ręka dziewczyny, spłynęła aż do ziemi, delikatny zapach warkoczów, ucałowanych niegdyś ogniste przez Gustawa wionął wspomnieniem krótkich chwil szczęścia.

„Jak twoje warkoczki pachną!“ szeptał w ostatniej godzinie pożegnania.

Oczy przymknęła, zaróżowiły się usta, piersi podnosiła się szybciej i głośniejsze serce biło.

— Czy ty pamiętasz, Marcie, pana Gustawa?

— Jak żywy stoi przede mną.

— Czy ty pamiętasz ten wieczór kwietniowy, ciszę, jaką wtedy w powietrzu się rozlała, niewypowiedzianą trwogę oczekiwanego znaku, który miał go zabrać ode mnie?

Janczewska zatrzęsała się, jakby powiew mroźny po ciele jej przeszedł.

— Pamiętam, Jadziu.

— Siedzieliśmy w jadalnym pokoju—rodzice, ty, ja i pan Gustaw... Nie wiem dla czego, rozmawialiśmy szeptem, nie wiem dla czego rwały się wciąż słowa, a przecie tyle do powiedzenia mieliśmy. Zwieszona lampa u sufitu przyćmionym paliła się blaskiem, zdaje się, że sama przygasała...

— Nie, Jadziuniu—pan stary ją przygasił.

— Spuszczono psy z łańcuchów, a żaden nie zaszczekał, nie warknął...

— A Jadzia wie dla czego?

— Dlaczego?

— Todor, jak zawsze, o wiadomej godzinie psy pospuszczał i do stajni spać poszedł. Ale gdy uciszyło się wszystko, światła piekarniane pogasły—pan stary wyszedł na dziedziniec i zaczął psy nawoływać cicho.

— Aha! szepnęła Jadwiga.

— Ja całą niecułkę przygotowałam im mleka kwaśnego i postawiła w pokoju pana.—Stary pan zaprowadził tam psy wszystkie i zamknął na dwa spusty.

— Aha!—powtórzyła znowu Jadwiga.

— We dworze nie było nikogo—służba dworska tańczyła na weselu u diaka, a psy się pospały w gabinecie pańskim—

— Godzina była dwunasta...

— Pierwsza, Jadziu.

— Prawda,—jak ty pamiętasz dobrze!

— Bo zatrzęsałam się cała, gdy zegar tuż nademną syknął i uderzył raz tylko, a w tej chwili...

— Poczekaj, — przerwała panna Jadwiga, — niech przypomnę. A — tak! ogromna zapanała cisza, jak to w kościele bywa na chwilę przed podniesieniem Najświętszego Sakramentu, tajemniczej ofiary krwi. W tem zegar uderzył — tak... pamiętam... raz tylko! Ty odskoczyłaś od ścian, a w tej chwili dało się słyszeć trzykrotnie stuknięcie w szybę. Widziałam wyraźnie rękę i palec skureczony trzy razy zbliżający się do szkła. Spojrzałam na pana Gustawa... Zbladł lekko... Gdy podbiegłam ku niemu, nie zważał, że rodzice siedzieli, że ty stałaś, pochwycił mnie w ramiona, swoje usta do ust przyłożył, w oczy się wpił, całował czoło, włosy i w jakimś zachwycie uniesienia zawołał:

— Jak twoje warkoczki pachną!

Znów cicho szyba brzękła... i—zanim się opamiętałam, w pokoju było cicho, ciemno, tuliły mnie tylko ramiona ojca, słyszałam szept pacierza matki i cichy, dziwny szept liści w ogrodzie, i brzęk, jakby żelaza, i chód, jakby się duchy wykradały z grobów zamkniętych...

— Jadziu!—tłumiąc przestrach, odezwała się Marcia i obejrzała się trwożnie w koło.

Jadwiga wzięła rękę starej piastunki i przyłożyła do serca. Miotło się w piersi jak oszalały ptak w klatce—

— Prawda, że straszna bajka?—spytała.

Janczewska trzęsła się—

— Oles mówi, że nie powtórzy się już nigdy—dodała Jadwiga.

— To dobrze, Jadwiniu—bo można byłoby sfiksować—dzwoniąc zębami, odpowiedziała nianka.—Ja, Jadwiniu, już chwalić Pana Boga, siedemdziesiąt lat żyję na świecie, wilkołaki i strzygi widziałam, widma niejedną drogę mi zaszła, miauka do mnie z prośbą się odzywała, i głos domowika słyszała nawet, a nigdy takiego nie nabrała się strachu jak wtedy. Gniewaj się sobie, Jadziu, czy nie gniewaj a ja powiem, że to była jakaś siła nieczysta i koniec—

Jadwiga nie odpowiedziała nic—ciężkie powieki opadały powoli na oczy, jakby się do snu kleiły.

— Jadziu!—szepnęła Janczewska, nachylając się do twarzy dziewczyny—

— Co, Marcie?

— Czy ty o Guciu niezapomnisz nigdy?

— Nigdy—

Stara niechętnie głową poruszyła.

— A jeżeli Gucio zapomni?

Jadwiga podniosła się z pościeli.

— Zapomni?

— Chłopu to nie zawsze wierzyć można—a szkoda twojego państwo. Jadziu! Pojechał—nie wrócił—i co?...

— Wróci, wróci, wróci—odezwała się Jadwiga,—niech tylko minie czas jego pracy. Wtedy się skończy i rodziców moich i moja niedola.

— To on ma pieniądze?—spytała Janczewska.

Jadwiga zaśmiała się—

— Kopie złoto—rzekła.

I nagle cień jakiś twarz jej pokrył. Janczewska zdawało się, że zbladła.

— Gładki chłopak był—to prawda,—szepnęła niania,—ale bałamut!

— Zbałamucił i mnie—wiesz Marcie!

— I już odbalamucił się nie możesz?

— Nie mogę—Marcie—

Janczewska podrapała się w głowę.

— Dlaczego tak chcesz koniecznie, bym zapomniała o nim?

— Ee...

— Powiedz!...

— Możeby lepiej milczeć, Jadziu!

— Powiedz, powiedz, — nalegała pieszczocha Janczewska.

— Lat trzy, jak poszedł—lat trzy, nim wrócił!...

— Będę miała lat trzydzieści,—szepnęła panna Jadwiga.

— Nie będzie widział ciebie przez lat sześć—

— Zobaczy inną—brzydką, starszą,—dodała jeszcze ciszej Jadwiga.

— Może niepozna,—doszeptowała Janczewska.

— Nie!—na głos prawie odezwała się Jadwiga.—Przecie i on będzie starszy—i on już nie będzie tym pięknym, młodym, rozrzucającym czar do koła. A jednak—czy ja go kocham dla tego tylko, że piękny? Nie Marcie—nie! To byłoby okropne, przerażająco okropne!...

Zakryła twarz i zaczęła płakać cicho—

Marcia przestraszyła się.

— Ot, głupia stara ze mnie...—zawołała, przypadając do kolan panienki.—Cicho, dziecino—cicho!... Ot, zalulała ciebie!... Żeby skonanie moje było ciężkie, za taką pociechę!

— Marcie! co ty mówisz, daj pokój,—szepnęła Jadwiga, przyciskając do łona zawodzącą starowinę. Pomyliłaś się tylko—a mylić się każdy może. No, nie płacz, nianiu—nie płacz... Już mi się oczy do snu kleją—dobranoc tobie, Marcie, dobranoc!

Zaledwie uspokojona nieco Janczewska wyszła, jak Jadwiga zerwała się z pościeli i krokiem szybkim do zwierciadła podbiegła. Głęboką krysztalową odbiła postać jej piękną, w całym rozkwicie blasku młodości, pełną niewysławionych ponęt. Bujny, ciemny spłot warkoczów otaczał głowę, rzęsy pokryte oczy jak gwiazdy świeciły, usta miały barwę przepysznie utoczonego koralu, a zarumienione jagody same o pocałunek prosiły! Stała tak i patrzyła a uśmiech zadowolenia usta poruszał, aż oto cień smutku znowu jej czoło pokrył.

— Piękna jesteś dziś i jutro piękna będziesz! Ale gdy upłynie lat trzy...

Muszę być piękną!—zawołała,—dla ciebie ukochany, oczekiwany, daleki!...

I zaczęła w myśli swojej robić obrachunek tych lat trzech.

Ile miesięcy, ile dni, godzin, minut i sekund ile te trzy zawierają lata!...

Potarła czoło—

— Ach! gdyby je prześnić, przespać było można!...

Czuła, że ją zabijać będzie niepokój oczekiwania, liczenie tych lat, miesięcy i dni.

Ale panna Jadwiga wiedziała, że przeciw potęgze czasu jest druga potęga, która nazywa się—praca. Gustaw wróci i ona powie: „Pracując, czekałam na ciebie, pracując, myślałam o tobie; ty byłeś otuchą, wiarą, wytrwaniem, siłą i życiem mojem.“

Wzmoczona na siłach, pokrzepiona modlitwą zasunęła zasłonę nad łóżkiem i ukołysał ją sen cichy. Dwa razy Janczewska zazierała do swojej pieszczoszki, lecz słysząc oddech jej równy, spokojny, przeżegnała swoją dziecinę i na palcach opuściła pokój.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZYRODA W POEZJI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

(Pracę tę w streszczeniu wygłosił autor w d. 25 i 28 Marca r. b. w Sali Muzeum Przemysłu i Handlu, jako odczyt publiczny na rzecz ubogich, zostających pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności).

(Dalszy ciąg).

Nie było w Anglii przed Byronem i współczesnie poety, którzyby posiadał choć w drobnej części odczucie przyrody śpiewaka „Wędrowek Childe-Harolda“ Miltona do purytanin surowy, który zjawiska świata zewnętrznego tylko w oświeceniu religijnym ogląda. Więcej uczucia ludzkiego mają pieśni Osyana, lecz obrazy w nich to widziadła posępne, które rozplywają się w cieniu nieuchwytnie, płynące na obłokach, na skrzydłach wiatrów, w błędnych promieniach księżyca. Wilhelm Wordsworth tworzy z obrazów przyrody angielskiej idyllę wdzięczną. W poematach Walter-Scotta przesuwają się przed oczyma naszymi czarujące wizerunki gór szkockich. Tomasz Moor od pięknych widoków Irlandyi ucieka niekiedy pod płomienne niebo Wschodu, na łono wspaniałej przyrody, oddychającej wszystkimi rozkoszami ziemi, pełnej woni róż, rozśpiewanej, cudnej, jak raj Mahometa. Sonety wreszcie jest poeta jezior Cumberlandu, poeta noc i pustyni. Wszyscy ci poeci nie zdołali pochwycić tego szerokiego oddechu przyrody, który przepełniał piersi Byrona.

Żył jednak współcześnie z wieszczem Albionu śpiewak, który pod względem odczucia natury jest mu równy siłą, a pod wielu względami nawet go przewyższa. Stajemy oto przed największym może piewą przyrody, a w każdym razie przed najserdeczniejszym, najczulszym jej kochankiem, przed Shelley'em. Poeta ten daje przyrodzie więcej i więcej od niej bierze, niż duch jego, Byron. Ten ostatni, we własną tylko duszę zapatrzony, kocha naturę, jako orzeźwiający źródło świeżego, czystego życia, jako uchronienie od mętów i nędz doli ludzkiej, ale, nabierając jej swą duszę, nie zlewa się z jej duszą w jedną nierozłączną całość. Shelley zaś ukochał naturę dla niej samej, wciela się w nią całkowicie; duch jego daje się porwać falam wszechistnienia, wciaga w siebie cały oddech przyrody. Duch natura zlewa się u tego poety w jedną harmonijną całość, więc świat wewnętrzny ducha przedstawia się w najczarowniejszych obrazach żyjącej przyrody. Przed Byronem snują się obrazy, które oświeca on i rozpala płomieniem swej duszy. Dla Shelley'a przyroda gra cudowną melodię, a widzi on w niej nie piękno w szczegółach, ale cały ogrom ducha wszechświata; w ogromie tym zanurza się wrażliwe serce poety, tak, że jego odczuciu natury słusznie nazwano „kosmicznym“, bo ono niejako rozplywa się we wszechświecie. Shelley nie daje przyrodzie duszy burzliwej i samolubnej, lecz serce zule, nastrojone wrażliwie na każdy dźwięk natury. Błaga on wichry, aby uczyniły z serca jego taką samą lirę, jaką las dla tego wichru tworzy; pragnie być „martwym listem, który wichry uniesie“, pragnie być „bytrym obłokiem, ażeby wzlatać razem z zefirami.“

Niezadawalnia się poeta oglądaniem czarów przyrody, pragnie on, aby wichry głos jego słyszały, pragnie być obłokiem na niebie, falą na ród toni, zefirem w przestrzeni, słowem pragnie zbratać z żywiołami. I to zbratanie stało się rzeczywistym w pieśni Shelley'a, w której przyroda pełni nie tylko blasków, woni i kolorów, ale też pełni ducha wszechświata, wewnętrzna treścią tego, co nazywa ten poeta duszą wśród duszy.“ Shelley technął w przyrodę, jak w ciało Galatei. Uroczą wyspą, gdzie ragnął znaleźć schronienie na łonie miłości przyrody:

„ Słodką wonią dysze,
„A morze światła, które się kołysze
„Ponad tą wyspą jasnemi falami,
„Drzew cytrynowych cięży zapachami,
„I niewidzialne, jako mgła, opada,
„I na powieki snu ciężary składa;
„Fiołek i narcyz z pod mszystego ziela
„Strzałą zapachów do mózgu ci strzela,
„Że aż umierasz z tej rozkosznej rany.
„Tu każdy odruch, woń, blask, dźwięk
[rozgrany.—
„Zdaje się w jedno z tą nutą złączone,
„Która jest duszą duszy.“

(*Elipsychidion. Przekład Kasprówicza*).

Wyspa ta czarowna ma swą własną duszę, która „żarem płonie.“—

„Atom wieczności, i swój uśmiech zlewa
„Na szare skały, na zielone drzewa,
„Na głębie fali, co się w czar rozwelnia,
„I tak nim puste przestrzenie wypełnia.“

Każda cząstka natury jest u tego poety atomem wieczności, jest nim i serce człowieka, a w tej wieczności żyje ona z całym wszechświatem. Siłą zaś, która łączy wszystkie atomy we wszechświecie, jest miłość. Ziemia leży

w uściskach z morzem. „W technieniu przeci-chem strop wargi swoje łączy z ust kielichem ziemi-kochanki.“ Światło zmienia się w miłość, rozwija kwiaty, rozbudza owoce. Księżyc śpiewa pieśń miłosną ziemi—swej kochance. Jeziora rozmiłowane są w wodach rzek, które w ich łóżach giną. W wybrzeżach kamiennych „czerstwy, świeży całunek morza takie budzi życie, że drżą i skrzą się, jak gdyby w zachwycie.“ I wśród tej przyrody ludzie-kochankowie mają „władać, owdadzić razem—bujnym przeciwie rozkoszy obrazem, złączeni z sobą i oddani sobie, aż życie w miłość się zmieni.“

Sama miłość ma być, według poety, żywiołem natury, ma być „strumieniem tajemniczej fali, co z ducha krynie najskrytszych wytryska.“ Światłość ją rodzi; ona zaś budzi życie w naturze, rozwija kwiaty, rozbudza owoce.

Dusza ludzka, rozlewając się we wszechświecie, nie zatracą swej samoistności, pozostaje „świadomą siebie“ kochanką przyrody. Mówi ona przez usta poety: „kocham ziemię w zielonej odzieży wiosny, noc w majestacie gwiazd, wieczór jesienny i złoty mrok młodzieńczego rana; kocham śnieg i obrazy, powstające na lodzie, fale, wichry, siłę burzy—kocham wszystko, co pochodzi od przyrody.“ Na łonie natury człowiek włada, owdadnięty razem bujną jej rozkoszą, aż mu się życie w miłość zmieni. Myśl jego staje się melodią, dźwiękiem przyrody, „której nie oddać językiem, co ginie, zamiera w słowach.“ A jak cudowny jest obraz natury, z którym spaja się dusza poety:

„ Tu w cichej rozkoszy
„Z swemi się dziećmi natura rozgości;
„Tu się wśród bluszczów żali swej miłości
„Grzywacz; tu sowa okraża wieżycę,
„Tonącą w cieniu wieczornym; żrenice
„Gwiazd nieskażonych tu błyszczą i płoną
„Tańczącym w zmroku nietoperzy gronom;
„Tutaj nam sarna w promykach miesiąca
„Igra przed bramą; tutaj noc milcząca
„Miarą snów cichych mierzy wolne kroki.“

(*Przekład Jana Kasprówicza*).

To nie obraz tylko, to gra żywiołów. A człowiek czem ma być wśród tych żywiołów? Czy tylko spostrzegawcą, mniej lub bardziej uczuciowo nastrojonym? Nie! Ma on być ich częścią, duchem bratnim, a wtedy:

„ Gdy lat potoki
„Zwiedłych nas godzin w późny czas przekwitu
„Zasypią liściem, bądźmy dniem, błękitu,
„Rozpinającym namioty na niebie,
„Duszą w tym raju, świadomymi siebie...“

(*Przekład Jana Kasprówicza*).

To samo życie wolnych sił natury, gra żywiołów wspaniała przemawia do nas niezwykłym czarem poezji w utworze p. t. „Chmura.“ Każdy żywioł ma tu swoją indywidualność, a nadto łączy się z innymi w powszechnym społeczeństwie żywiołów wszechświata. Chmura spragnionym krzewom niesie świeże ulewy, dostarcza cienia listkom, budzi pączki... Grom zaś to przewodnik ognisty chmury; rozkochany w duchach mgły i piany, „ściga je w fal toni,“ bratając się z niemi, „śle im całus z płomieni.“ Wschód gąsi gwiazdy senne, wskakuje na wzdęte żagle chmur i piora płomienne roztacza:

„A gdy z nad morza
„Tchnie zachodu zorza
„Ciszą, miłością, rozkoszą;
„Gdy płaszczy z purpury
„Pada na dół z góry,
„A z dołu cienie się wznoszą;

„Ja (chmura) skrzydła złożę
„W błękitów przestworze,
„Piór szarych pochowam rąbki,
„I w gniazdku mroczne
„Uleciawszy spoczne,
„Naksztalt drzemiącej gołąbki,“

(*Przekład Adama Asnyka*).

Chmura ta słońce w promienne wstęgi obwija, księżyc w przepaski tęczy sine. Leży ona, oparta na gór filarach, a tęcza jest bramą jej tryumfalną. Gwiazdy drżą, wulkany się mroczą, gdy sztandar swój rozwinie. Wreszcie mówi ona o sobie:

„Duchy wód i ziemi
„Rodzicami memi,
„Piastunką—przestrzeń powietrzna;
„Przenikam w obieg
„Tkań morza i brzegu,
„Wciąż zmienna, a jednak wieczna.

„Choć z deszczową rosą
„Wiatry mnie rozniosą,
„I w górze istnieć przestanę;—
„Choć słońca promienie
„Błękitów sklepienie
„Bez skaz utkają świetlane:

„Ja z swego pogrzebu
„Wzlutuję ku niebu
„Z jaskini deszczów ukrytej;
„Jak duch z grobu łona,
„Nowo-narodzona,
„Przesłaniam znowu błękity.“

(*Przekład Adama Asnyka*).

Byron nie wierzy w człowieka; Shelley, przeciwnie, widzi w nim te same siły odrodzenia, które żyją w przyrodzie całej, i pragnie tego odrodzenia. Byron kocha człowieka w sobie; Shelley kocha go w ludzkości, kocha go razem z naturą w jednym umiłowaniu, w odczuciu jedności serca ludzkiego z sercem wszechświata. Słusznie też, gdy ukochana przyroda w falach mórz tragiczne łoże śmierci mu uślała, gdy następnie ciało jego spłonęło na stosie, dłoń kochającej istoty wypisała na grobie śpiewaka dwa słowa tylko: „Cor cordium“ (serce serc). A legenda mówi, że tego wielkiego serca poety płomienie technąć nie śmiały, jak gdyby pragnęły oddać je całej ukochanej matce-ziemi.

*

*

*

Romantyzm w Niemczech, rodzony brat filozofii idealnej, otworzył szerokie wrota przyrodzie do krainy poezji. Jeden z jego wybitnych przedstawicieli, Jan Paweł Rychter wyrzekł słów kilka, które stanowią dewizę szkoły. „Słońce plastyczne (należałoby dodać: klasycyzmu) świeci jednostajnie, jak jawa; księżyc romantyzmu rzuca różnorodne blaski, jak widzenie senne.“ Nie myśleć, a marzyć; nie oglądać świata w jasnych skończonych kształtach, lecz jakby we mgle,—oto romantyzm. Genjalna prostota i plastyka przedmiotowa Goethego pozostaje daleko po za tą wybujałością fantazyi, która wkracza w granice cudowności. Kształty tytaniczne zastępują harmonję. Uczucie i fantazyja biorą lot jak najswobodniejszy, zależny od woli i natury twórcy, który powinien w pieśni jak najdosadniej osobistość swoją wyrazić. Świat rzeczywisty pozostaje daleko za mgłą marzenia; dusza poety ogląda go w kształtach idealnych, nieokreślonych, niepoehwytanych.

Duch zapanował nad materią. Rozum, jako zbyt jasny i trzeźwy żywioł musi ustąpić miejscą ruchliwej, zmiennej fali uczuć, skrzydlatym wylotem wyobraźni. W romantyzmie, jak mówi Fryderyk Schlegel, „początkiem wszelkiej poezji było zniesienie biegu i praw trzeźwo myślącego rozumu; poezja przenosi nas w piękny nieład fantazyi, w pierwotny chaos natury ludzkiej.“

„Cudowność“ — mówi znowu Carriere, — „zajmuje miejsce naturalności, arabeski — miejsce postaci wyraźnych; zamiast rzeczywistość podnieść do ideału, przeciwstawia się jej życie marzeń, a noc z ciemnością i jej gwiazdami przekłada się nad dzień jasny.“

Przesadzając często w uczuciowości i fantazyi, stworzyli jednak romantycy niemieccy czarowny eliksir, który upajał całe pokolenia i dawał im oglądać w tem upojeniu takie czary przyrody, jakich dawniej nie oglądano. Czarodziejski świat baśni, cudów, marzeń i tęsknoty uskrzydlał wyobraźnię, potęgą życia duchowego jednolitość dawała jej lot swobodny w krainę piękną; mistycyzm i panteizm otworzyły jej wrota do krainy nowych natchnień; a w wielu zjawiskach natury odkryły symbole życia duchowego dawały duszy ludzkiej oglądać niepochwytne cienie marzeń, widziadła fantastyczne, słyszeć jakieś tajemnicze szmery uczuć, położyły pieczęć tajemniczości na całych obszarach ziemi, oświeconych bladym promieniem księżyca, dały duszy ciche, nieuchwytny sen marzeń, a sercu słodkie upojenie uczuć i nastrojów, pokrewny z nastrojem przyrody. Poeci wołali: „Nocy czarodziejska, oświecona bladym światłem księżyca, niewoląca uczucie nasze, czarodziejski świecie cudów, powstań znowu w dawnym przepychu barw swoich!“

Czarodziejstwo poezji dało duszom ludzkim odczuć głębiej urok przyrody, który tkwi w znacznej części w grze wyobraźni. „Poeta“ powiada Guyau (pisarz zresztą późniejszy, nie wspólnego z romantyzmem nie mający) „zaklina Boga, aby otworzył przed nim sklepienie niebios, uniósł przed jego wzrokiem zasłony, która Go kryje, i ukazał się oczom piewcy w całej potędze i majestacie. Gdyby Bóg go wysłuchał, zkaż pewność, że poeta czciłby go nadal? Może cały urok przyrody rozwiąłby się w mgnieniu oka. Gdyby sklepienie błękitów nie nie ukrywało przed oczyma naszymi, któż odróżniłby je od ziemi, po której stąpamy. To pragnienie nieskończoności, które jest męką duchów wybranych, daje im chwile najwznioślejszych rozkoszy. Już Szyller powiedział: „Miej odwagę zwodzić się i marzyć.“

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Oddział lwowskiego Tow. kolonii letnich dla dziewcząt, pod przewodnictwem p. Maryi Stojnowskiej, w tym roku jak i poprzednich latach zabrał się energicznie do istotnie dobroczynnego dzieła, wysłania jaknajwiększej liczby dziewczyn na świeże i zdrowe powietrze. W tym celu, zwróciły się opiekunki zajmujące się koloniami dla dziewczyn do pań mieszkających na wsi, z serdeczną prośbą, aby pod ich rodzinnym dachem umieścić można na lato pewną ilość biednych tych dzieci, które zdrowe są ale zmęczone lub zabiedzone. W praktyce już się okazało, że dzieciom w takich gościnnych progach naszych gospodyń bywało bardzo dobrze i wracały z pokrzepionym zdrowiem i tem moralnem przeświadczeniem, że są dobrzy ludzie, którzy chętnie coś dla drugich uczynić z serca gotowi. W roku przeszłym kilka domów otworzyło swe wrota biednej bladej gromadce dziewczątek, a pod okiem tych dobroczynnych obywaterek, dzieci poprawiły się znacznie na zdrowiu. I w tym roku jest nadzieja i powtórzy się toż samo, i tym sposobem przyjdą nasze wiejskie panie w Galicji ze znaczną pomocą Tow. kolonii letnich, które w r. z. mogło wysłać na wieś zaledwie 106 dziewczyn. To też przewodnicząca oddziału kolonii wakacyjnych zwróciła się z gorącą prośbą do właścicielek ziemskich o pomoc Towarzystwu i niezawodnie znajdzie echo u tych ofiarnych kobiet, które umieją odczuć biedę i marzenia o słońcu i lecie takich wybladłych w miejskiej ciasnocie dzieci.

— Na Podolu Galicyjskiem, w miejscowości D. mieszka obywatelka, p. T. matka dość licznej rodziny, dobra gospodyni, uprzejma sąsiadka. Takich jest, z pociechą wyznać trzeba, dość liczba znaczna, ale p. T. w cichym swym zakątku spełniła czyn istotnie niezwykły, bo nie sztuka

sygnąć pieniędzmi jeśli je kto ma, ale do datku dołączyć własny trud, pracę, czas, zrobić sobie z dobrego uczynku obowiązek trwający kilka tygodni, to doprawdy jest niepospolitym aktem dobrego a mądrego i wytrwałego serca. Oto na całe wakacje p. T. zaprosiła do swego nie zbyt obszernego domu na wieś, całą dzieciarnię biednego nauczyciela osieroconą właśnie przez matkę. Dzieci było sześcioro, najstarsze już w szkołach uczniami, najmłodsze z mamką niemowlę! Dzieci dostały mieszkanie, pożywienie, rozrywki, urządzono gimnastykę, kąpiel ciepłą lub zimną, co któremu było potrzebne i nade wszystko opiekę macierzyńską, staranność istotnie dobroczynną, tak, że przez kilka tygodni dzieci te miały wszystkiego podostatkim i z łzami żegnały swą szlachetną opiekunkę, której przykro się uczyniło, gdy ją ta gromadka sierotek rumiana i zdrowa opuszczała. Czyby jednak takiej pociechy dostarczyć sobie chciało dużo pań naszych? Czy ty, pani, uprzejma i szlachetniczko, zgodziłabyś się przyjąć do domu swego, eleganckiego, choć masz sporo służby i sporo banalnych gości, czybyś się zgodziła przyjąć taką „zgrają dzieciaków“, któreby ci hałasowały nad głową? Czybyś im rozdzielała własną ręką chleb, masło, mleko, owoce i pilnowała ich gdy się bawią nad wodą lub wyrwają się na powietrze zawczasie po deszczu. Ej, może nie? Ażresztą? kto wie; w każdym sercu kobiety tkwi matka i ta struna najniespodziewaniej czasem przedzwoni inne, światowe, próżne, egoistyczne.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołączamy: arkuszy 1 powieść, p. t. *Dla zabicia czasu* Fr. Spielhagena. Przekład Z. S.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami. Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Treść: Portret ś. p. Maryi Ilnickiej. — Ś. p. Marya Ilnicka, przez K. Glińskiego. — Ś. p. Maryi Ilnickiej, przez Antoniego Pileckiego. — Wspomnienie, przez Szczęsną. — Nad grobem Maryi Ilnickiej, przez Bronisława Grabowskiego. — Z niedrukowanych poezji Maryi Ilnickiej. (Z albumu Szczęsnej). — Kazimierz Gliński. Wróć! Powieść. (dalszy ciąg). — Przyroda w poezji, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg). — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: *Dla zabicia czasu*, powieść, Fr. Spielhagena. Przekład Z. S. Arkusz 1. — Przegląd mód. 17 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow. — Przedmieście Nr. 66.

Дозволено Цензурою. — Вapшaвa, 27 Aвгyстa 1897 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg